

Edward Sietko-Sierkiewicz stracił młodość na Syberii. Gdy go zesłano- miał lat 21, a wrócił jako trzydziestopięcioletni mężczyzna! Zesłanie do Narymu stanowiło tylko preludium- jak się okazało do dalszych upokorzeń i wyniszczającej pracy w łagrach Norylska.

Wspomnienia pana Edwarda stanowią nieocenione źródło dla badań nad życiem polskich zesłańców w Narymie. Był tam zastępcą Męża Zaufania w olbrzymim rejonie Wierch-Ketskim, licznie zasiedlonym przez Polaków. Jest też chyba jedynym żyjącym oskarżonym z grupowego procesu Mężów Zaufania i członków Komitetów Polskich w Narymie, który się odbył wiosną 1944 r. w Kołpaszewie, i w swej relacji przedstawia warunki, w jakich musieli "zeznawać" oskarżeni.

Wspomnienia Edwarda Sietko-Sierkiewicza ukazały się już w zeszycie nr. 3 "Wspomnień Sybiraków"- wydawanym przez Komisję Historyczną Związku Sybiraków /Zarząd Główny/. Niniejszy tekst uzupełnia tamte wspomnienia, i je rozszerza.

Czesław Bazan

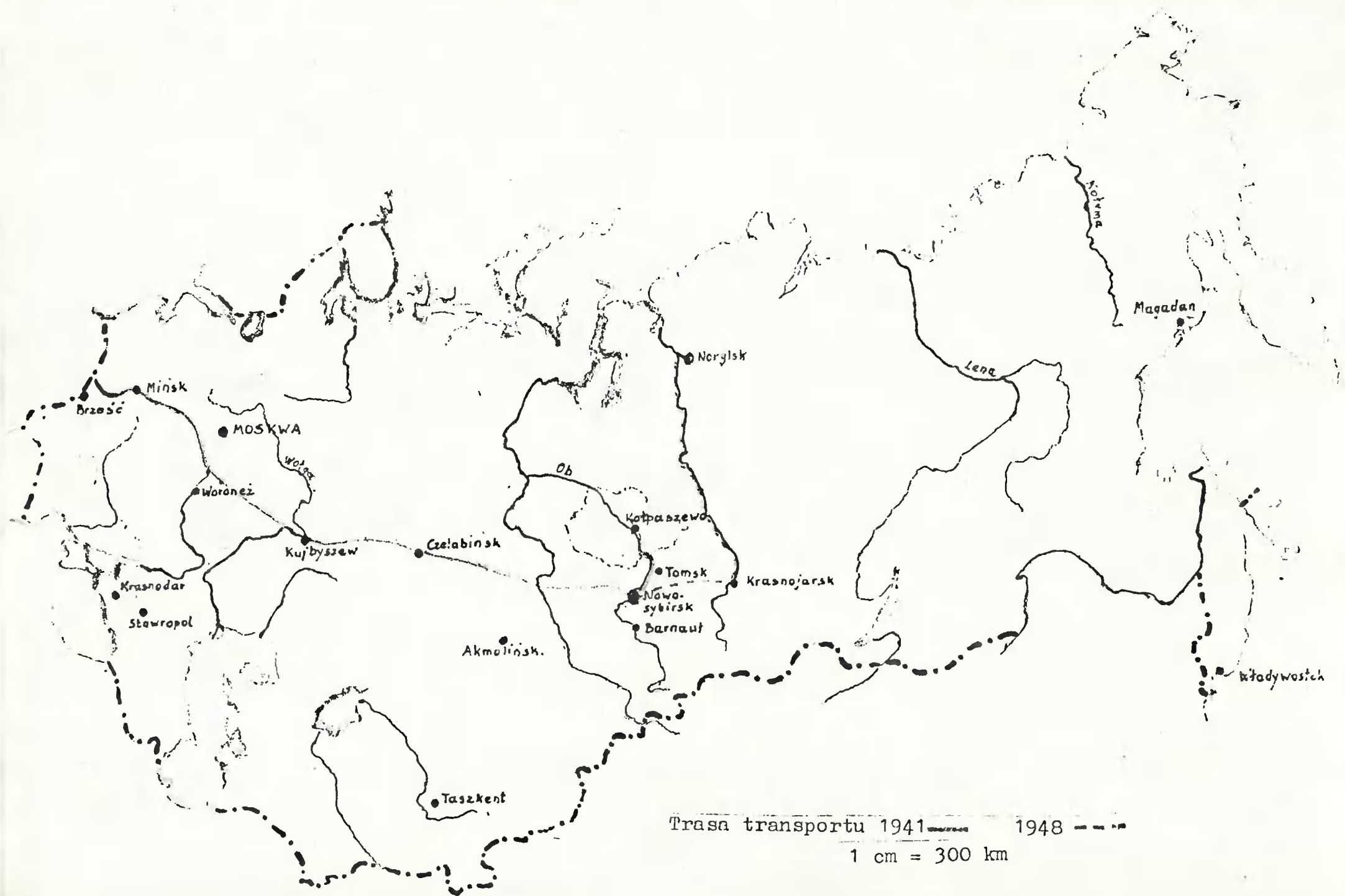
Nazywam się Edward Sietko- Sierkiewicz. Ojciec mój, Sylwester, /urodzony 1.01.1888/ był pracownikiem kolejowym; na kolei pracował już za carskich czasów. Ja wówczas- w 1939 r.- byłem praktykantem leśnym w nadleśnictwie Biała w Puszczy Białowieskiej.

Kiedy wybuchła wojna i weszli Rosjanie, to zaczęli wywozić gajowych, 10 lutego 1940 r. Przez jakiś czas pracowałem jeszcze w leśnictwie, ale przed wywózką uciekłem. Byłem młody, miałem wszystkiego 20 lat, nie żonaty- i uciekłem, tak że mnie nie wywieźli.

Ale 20 czerwca 1941 r. cała nasza rodzina została aresztowana i przewieziona do wagonów. Ojciec jak gdyby spodziewał się wywieżenia: mieliśmy chyba ze cztery worki samego mięsa i słoniny! Wszystko zawędzone! Ojciec zachował 4 szynki, 4 łopatkki- i to wszystko zabraliśmy, i boczku do licha, i słoniny. Strażnicy byli tacy dobrzy, że pozwolili nam to zabrać. No, oczywiście- oni tam dostali też swoją część. Zabraliśmy też wszystkie firanki, kołdry, co się tylko dało. Mebli- jasne- nikt nie brał, bo to i nie było gdzie, i nie dawali. Tak to spakowaliśmy wszystko: pościel- nie pościel, ubrania, co złapali, to do worków. Potem były sienniki, to z sienników powyrzucaliśmy słomę, a tam dawaj- ładować co się dało.

W naszym wagonie było, zdaje się, 42 osoby- ja tak liczyłem. Byli pp. Sliwińscy, Gasperowiczowie, Wolanowa, Daszkiewiczowa- razem liczyłem, że 42 osoby.

Cały transport w Wołkowysku składał się z 90 wagonów. Nas wywieźli z Wołkowyska 21 czerwca, i w Baranowiczach dowiedzieliśmy się, że wybuchła wojna. Transport zatrzymał się, i przez zabite okienko zapytaliśmy kolejarzy- a to wszystko byli Polacy. Powiedzieli nam, że to są Baranowicze, i "nie bójcie się, bo już wojna wybuchła!" Tylko on to powiedział, dziesięć minut nie trwało- jak podczepili do nas dwa parowozy i hajda! Przywieźli nas do Mińska. Gdy przejeżdżaliśmy przez Mińsk, słyszeliśmy bombardowanie. Potem dowiedziałem się, że parę transportów zostało, nie przejechało, bo tozbito tory.



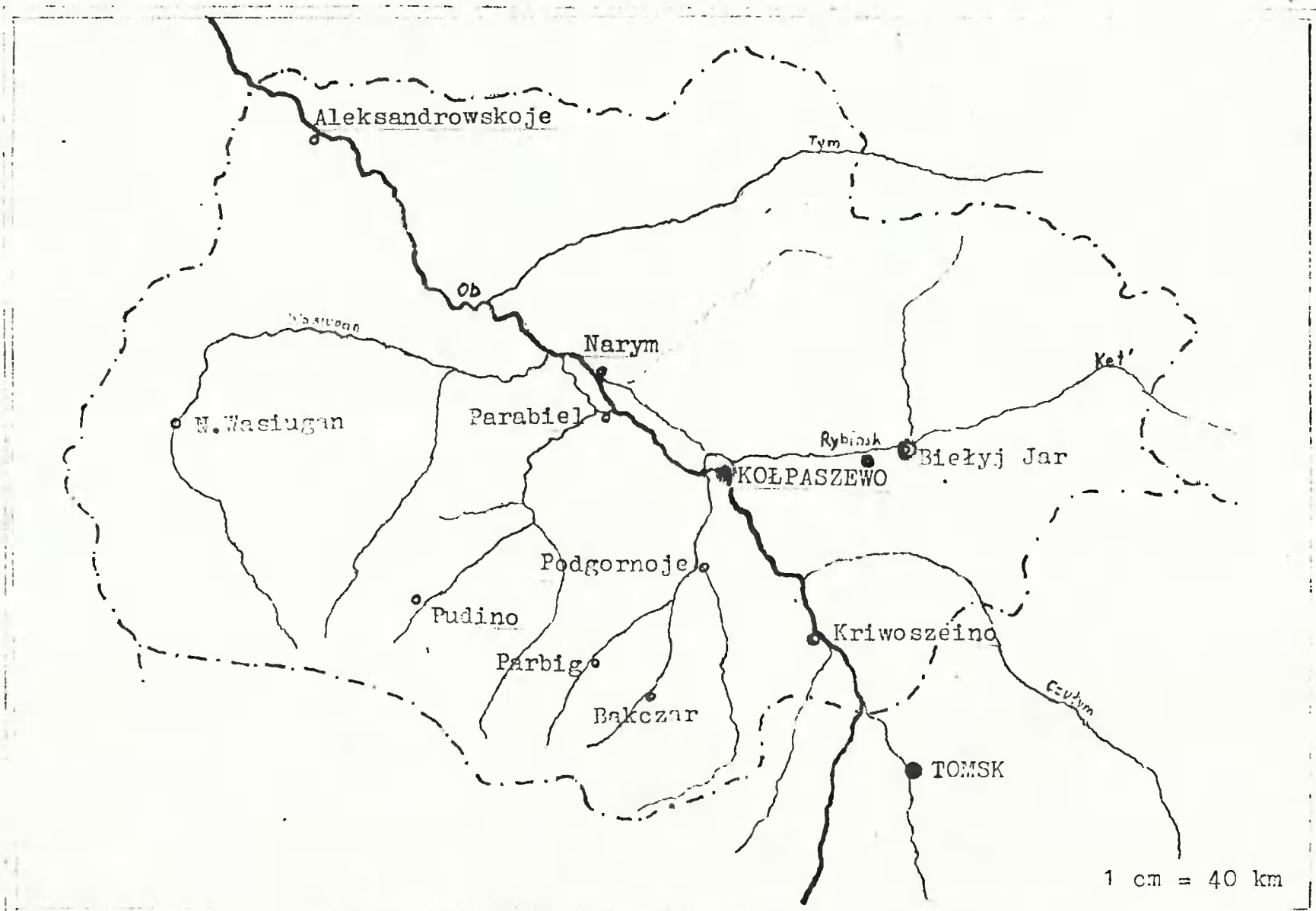
Te transporty nie dojechały, a niektóre przejechały- tak jak nasz.

Gdzieś w połowie lipca, dziesiątego lub piętnastego- daty nie pamiętam, przywieziono nas do Nowosybirsk i wyładowano z wagonów. na statek pasażerski, ale jak on się nazywał- to nie pamiętam. Miał on trzy pokłady, a to wszystko było załadowane przesiedleńcami. Cały ten transport przywieźli do miejscowości Białaj Jar. Tu kazali się "wygruzić" /wyładować/, i rozsiedlili po kołchozach. Nie wszyscy się tu "wygruzili"- część pojechała dalej. A deszcz wtedy taki tam był rzęsiasty- zamoczył nas doszczętnie.

Myśmy nie chcieli nigdzie dalej jechać. Rodzina nasza, Gasperowiczów, Płatków, pani Daszkiewiczowa /której mąż, były legionista został aresztowany, więc go tu nie było/- trzymaliśmy się razem. Przewieźli nas do gospodarstwa leśnego, zwanego po ichniemu "miechlesopunkt" /zmechanizowany punkt wyrębu drzewa/, i mówią nam, że tam może reszta pracować- bo myśmy się zgodzili jechać do tego "miechlesopunktu". Zawieźli więc nas z Białego Jaru z powrotem, bo to było trochę bliżej, takim stateczkiem, nie wiem jak nazwać- takimi łódkami do Rybińska.

Po przywiezieniu tam, żadnych dokumentów nam nie wydali. Żywiecie i robotajcie!" /Żyjcie i pracujcie/- powiedziano, a żadnych dokumentów nie wydano. Nie kazano nam się meldować, ani nikt nie przyjeżdżał sprawdzać naszej obecności, bo nie było stąd jak uciec. 300 czy 250 km do Kołpaszewa, same bagna, rzeki- jak przejść? A zimą też nie przejdiesz, bo człowiek nie potrafi tyle kilometrów zrobić. Przejdzie się te trzydzieści- czterdzieści kilometrów, dajmy na to, w dzień, to ma się zmęczenia o tak!- powyżej głowy. Trzeba się gdzieś przespać. Oni się więc nie bali, że uciekniemy, i myśmy się nie meldowali.

Pośrodku Rybińska płynie rzeka. Po jednej stronie jest większa część osiołka, tam znajdowały się władze i ten "miechlesopunkt", a po drugiej stronie rzeczki był "spław", i myśmy się "wygruzili"



OKRĘG NARYMSKI

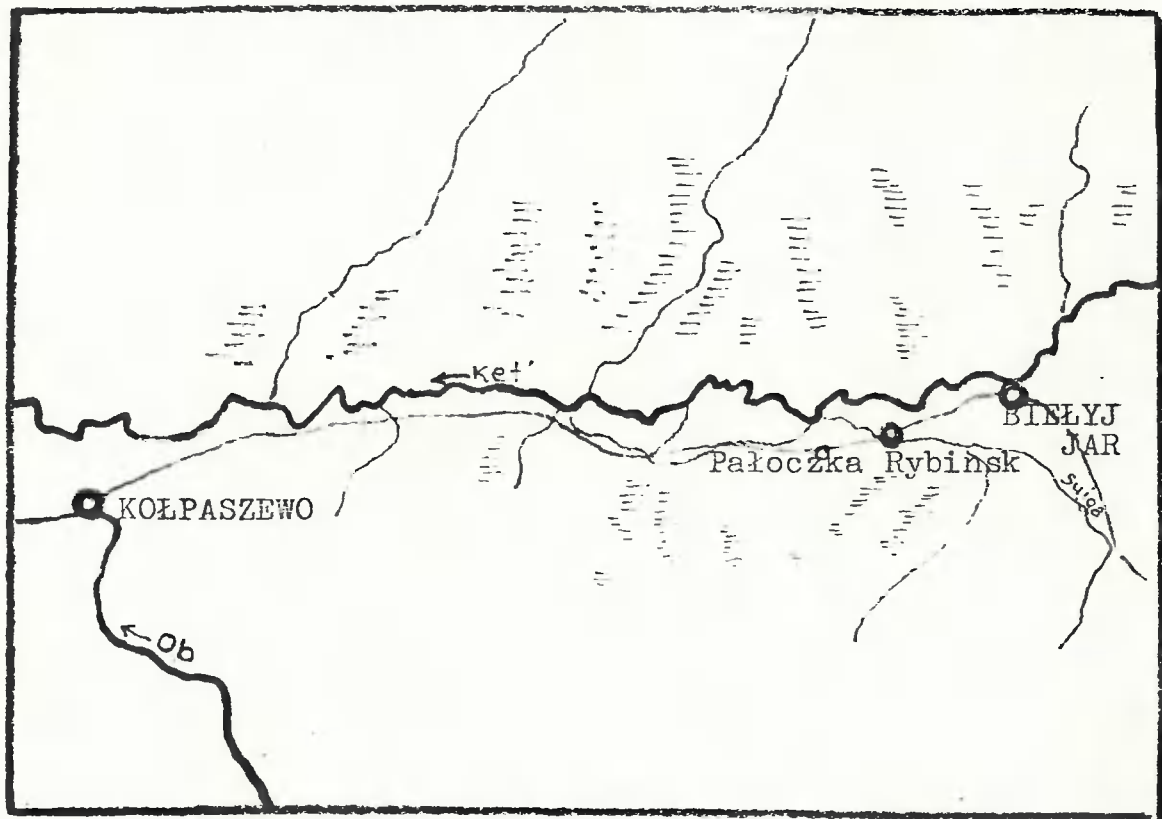
na "spławie". Tak się to nazywało - "spław", bo na nim przeważnie spławiali drzewo. Ale nas zapędzono do pracy w lesie.

Na drugi dzień po przybyciu przyjechał enkawudzista, spisał wszystkich, i nas od razu wywieźli do pracy do lasu. Szło się tam jakieś 20 km, przez bagno- nie wiem, jak ono się nazywało. Przez to bagno szło się po drewnianych klocach. Położone były dwa kłocce obok siebie, duże sosny, zbite, aby się nie rozsuwały- i po tych klocach się szło. Proszę sobie wyobrazić: przejść kilometr po tym, to już się nogi czuje, bo to się chybocze. Z początku bardzo wielu padało- wpadali do bagna... Takie to były trudności, no ale pracowaliśmy tam. Gdy nas przenieśli na ten "uczastok" /rewir/ za bagniskami, to tam nie było nic, stał tylko jakiś barak. Nocą spaliliśmy przy ognisku; rozpalaliśmy duże ognisko i siadaliśmy dokoła. Najpierw grzaliśmy plecy- a z przodu zimno! Przekręcisz się o 180°, to z przodu ciepło, ale plecy marzną! W każdym razie nie był to sen, ale przetrwanie nocy. Ale największą zmorą i cierpieniem były komary i meszka.

Gotowali nam tam obiady. A karmili źle, bardzo źle. W obiad- prawda- gotowali taką "łapszę" /makaron/, to niby zupa. I to było tylko tyle: chleb i ta zupa.

Piłowaliśmy tu drzewa. Obcinało się odziomki i koronę- bo była bardzo rozłożysta- i na spław. Tratew tam nie zbijali, tylko je wiązali. Wiązano je łożą, którą ścinano i skręcano z niej rodzaj powrozów. Jeszcze moja siostra trzynastu lat nie miała, jak ją też zapędzili do kręcenia tych "batów".


Tak tam pracowaliśmy do przyjazdu pana Koneckiego z Ambasady. Było to w końcu września lub na początku października 1941 r. Przyjechał "naczelnik" NKWD, Razygrajew, i p. Konecki, i zwołali zebranie Polaków w Świetlicy w Rybińsku. My młodzi, to my tymbardziej zapraszaliśmy wszystkich. Zebrała się cała pełna świetlica, a świetlica była ogromna! Przyszli wszyscy. Wtedy właśnie najpierw ogłosił nam ten naczelnik NKWD, że podpisano umowę. "Stalin, Ojciec Narodu",



Dolny bieg Keti - okolice Rybińska.

1 cm = 10 km

 Bagna

 Drogi gruntowe

/Wszyscy znają te ich gadki, które nie mają pokrycia ani w prawdzie, ani w rzeczywistości/. Nazali nam wybrać Męża Zaufania, któryby nami kierował. Ambasada Polska będzie pomagać i żywnością, i odzieżą. Zadeklarowali nam po 10 tysięcy rubli każdy miesiąc- i te pieniądze wtedy rzeczywiście otrzymywaliśmy.

Ludzi wtedy tam było gdzieś 1800. Bo niedaleko była Pałoczka- tam byli wywiezieni Ukraińcy- obywatele polscy, tak że im też te pieniądze dawali.

Ja wówczas zostałem wybrany zastępcą, a Mężem Zaufania został p. Szwojnicki, kolejarz- znajomy mego Ojca z Wołkowyżka. Ja zostałem zastępcą Męża Zaufania dlatego, że byłem młody, sorytny, a trzeba młodemu do pomocy, bo tutaj trzeba wiele pracować: i pochodzić, i pojeździć, i przynieść... I ja właśnie się zgodziłem i pełniłem te obowiązki. Starąłem się jak najlepiej- a jak wyszło, to mogą powiedzieć ci, którzy jeszcze żyją. W każdym razie wiem, że za mną nie nie pozostało- nawet tyle, co brudu za paznokciami. Żadnych tam /machlojek/ nie robiłem, prócz tego, że musiałem dać te buty...

Dostaliśmy bowiem pomoc; 18 furmanek tego było, wiozłem to z Kołbaszewa do Rybińska. Furmanki były właśnie z tej wsi Pałoczka; tam był duży kołchoz, kołchoz Pałoczka. To była zima, więc to były sanie, a nie furmanki. Dali nam wtedy dużo oleju, miodka, cukru; na olej mówili wtedy "małpi tłuszcz!" Mąka australijska, bielusia! Mówili, że takiej mąki u nas w Polsce przed wojną nie było, taka biała! Była kasza manna; cukru było mniej... Żółtej mąki sojowej nie pamiętam. Wieźliśmy też odzież: ubrania żołnierskie kroju angielskiego, frencza- to właśnie młodzież otrzymała. Były koce; skarpetek nie było, ale za to sukienki- nie nowe, już noszone, ale w bardzo dobrym stanie. Wtedy nasza ludność wznosiła modły do Boga - że zaopiekowali się nami, i że ktoś o nas myśli...

Składowane to było wszystko w różnych miejscach, bo w jednym nie dało rady. Tu i tu- we wszystkich miejscach, w prywatnych domach, gdzie ktoś miał wielką komorę...

W tym transporcie było też obuwie, którego częścią musieliśmy zapłacić za transport: każdy z woźniców dostał po parze butów. A były to nowe buty!

Nikt się tego nie spodziewał, że tam i sukienki będą najprzeróżniejsze: i jedwabne, i balowe- różne... I sweterki. Gdy to przychodziło, to liczyliśmy: swetrów tyle... to trzeba odpowiednio rozdzielić: kto sweter dostał, to zapisało się sweter, a jak była rodzina, dwie czy trzy osoby, to się dawało więcej. Do rozdziału tych darów zebrałiśmy się wszyscy, żeby nikt nie powiedział, że sami wzięli, rozdzielili- sobie więcej, a innym nic.

Potem był jeszcze jeden transport, cała "barża"- to już było latem 1942 r. Zimą otrzymaliśmy tylko raz. Pieniądze dostawaliśmy z Ambasady przekazem, i tak samo się je dzieliło. Stosowano telegramy z napisem "prawitielstwiennoj" /rządowy/.

Mąż Zaufania te dary rozdzielał, a ja jak najwięcej starałam się dostarczyć. A on już tutaj te panie zebrał, m.in. była tam p. Boratyńska- i wspólnie to dzielili. Mąki dostaliśmy wtedy tak dużo, że każdy dostał prawie że po 10 kilo. Rosjanie podziwiali: "Takoj muki nikto nie widieł! My pierwyj raz widim!"- a my odpowiadaliśmy "I my sami pierwyj raz taką mąkę widim!"Ale o nas dbają, nasze "naczalstwo, a u was czto? Połowina s was gołodajet!" /Połowa z was głoduje/. No, oni też biedni. To tak Stalin rzadził, co zrobić. Imperium zła i nieprawości.

Potem te ruble- też nam dużo pomogły. Było tego 10 tysięcy; 10 tysięcy na dwa tysiące, czy na półtora /bośmy nie zawsze Ukraincom dawali, to inna rzecz/- to wypada po 50- 100 rubli na osobę na miesiąc, to już jest coś! A zarabiał się trzydzieści rubli, nie więcej! A tej australijskiej mąki po 10 kg- to ludzie skakali z radości!

Pomoc Męża Zaufania trwała cały 1942 r. W 1943 r. już się zaczęło od zimy: to przysła, to nie...

Do Armii Andersa nikt stamtąd nie pojechał; może tylko z tych

co wyjechali zaraz po ogłoszeniu amnestii, jak np. Godziszowie. Wyjechało wówczas więcej niż jedna trzecia rodzin polskich, zebrał się ich wtedy cały transport, i potem już się znacznie przeredziło. Ja wtedy nie mogłem wyjechać. Rozwaliłem wtedy gdzieś sobie nogę, i nie mogłem nawet chodzić. Gdyby nie to - to też bym wyjechał. Pamiętam, że pisałem do Ambasady, żeby nas zabrali, młodych, do wojska, to mi odpisali: "My s wami pojedem w posledniuju oczeredź" /Pojedziemy z wami w ostatniej kolejności/.

Jak wspominałem, w Rybińsku był ten "miechlesopunkt", a w nim dość duża świetlica. To był dość duży posiołek, dużo było tych ruskich, też "zsylnych". Było ich jakieś 500 osób, na pewno. Potem nas dowieźli, to zrobiło się dużo.

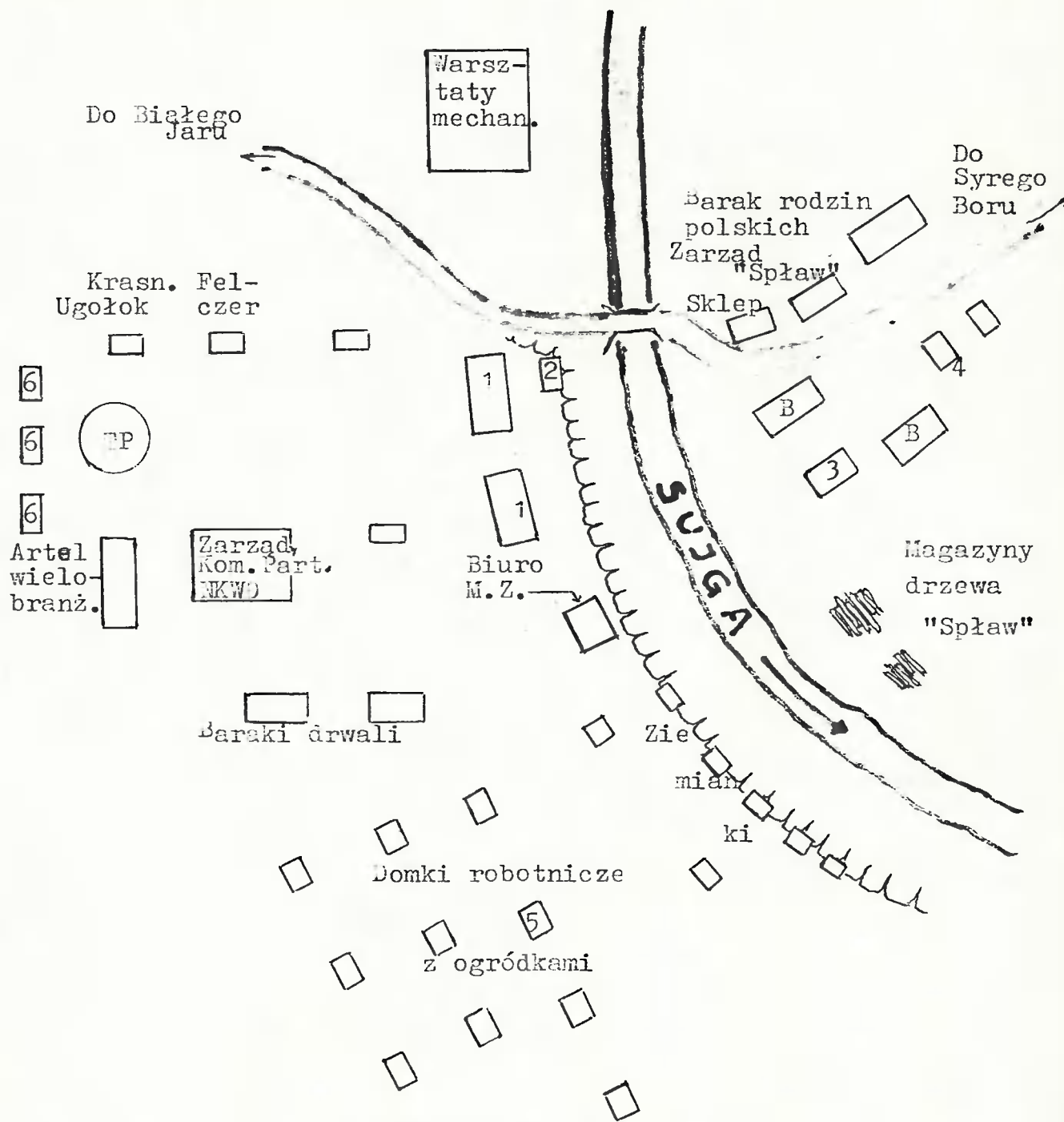
Na miejscu była agencja pocztowa. Pocztę dostarczano widocznie samolotem, czy końmi? W Białym Jarze było "pocztowe otdielenije"- oddział poczty, to tam było same "naczalstwo", a w Rybińsku była w agencji pocztowej tylko jedna kobieta. Tak samo lekarz: lekarza w Rybińsku nie było, tylko kobieta- felczerka na cały ten "miechlesopunkt". Tyle tylko, że jako kobieta, to była dobra, ale wiadomości medycznych to ona nie miała. Mnie się tak zdaje, że ona koło kuchni uczyła się medycyny- ale trudno.

Był jeszcze komendant, i on miał radio, t.zn. że oni ze sobą /z wyższymi władzami/ rozmawiali przez radio. Mieli antenę i radio czy radiotelefon.

Były tam warsztaty punktu mechanicznego; remontowali tam traktory, które dowozili z okolicznych kołchozów. Takie mechaniczne naprawy traktorów dla kołchozów, rodzaj MTS/ "maszino-traktornaja stanca"- odpowiednik państwowego ośrodka maszynowego, POM/.

Elektryczności w Rybińsku nie było. Próbowali robić, puścić prąd od tych warsztatów mechanicznych, no to dyrektor miał i sekretarz partii, a tak - to nie było światła elektrycznego. Paliliśmy kaganki, a potem łuczywo, bo zabrakło nafty.

Więcej innych zakładów tam nie było. Agencja pocztowa i ośrodek



PLAN RYBIŃSKA

wg E. Sietko-Sierkiewicza i Z. Godziszka .

- | | |
|--|---|
| 1. Magazyny | B - barak |
| 2. Łaźnia /"bania"/ | MZ - Mąż Zaufania |
| 3. Stajnie dla koni | W - stromy brzeg |
| 4. Tu mieszkał E. Sietko-Sierkiewicz do 15.06.42 | TP - "tancpołuszczadka"-
placyk do tańca |
| 5. Jak wyżej- po 15.06.42 | |
| 6. Domki kierownictwa. | |

zdrowia z felczerką- i to wszystko.

Posiołek był duży. lewa strona, tam gdzie była większa część Rybińska, była na wysokim brzegu, a ta nasza /"spław"/ to była niższa, ale nie zalewało jej nigdy. Wiosną rzeka rozlewała się na szerokość 300- 400 m, bo była to jakgdyby kotlina. Nie zapamiętałem nazwy tej rzeczki, dopływu Ketii.

W Rybińsku były jeszcze duże magazyny z zapasami żywności, którą przywozili latem: sól, mąkę, kaszę, cukier- ale tych rzeczy nam nie dawali, zawsze dzielili między siebie. "Służaszczijie" tak zwani /urzędnicy/- oni otrzymywali, a my nic. My tylko "pajok". I mydła nam nie dawali, a sami to brali... Oni przy papierze brudzili się, a my przy piasku, przy ziemi- to my nie, bo to tam czyściusko!

W każdym bądź razie cały ten Związek Radziecki nam się przedstawił z bardzo złej strony, bo myśmy dotąd nie widzieli takiej obłudy, takiej propagandy, jaką nam "sadzili". "Aj, tak dobrze, jak tu... U nas wsio jest! Nu kak że- chleb połączajecie?" /U nas wszystko jest.. Jak że- chleb otrzymujecie?/. Ja mówię: "Tak, tak, połączajem- no i czto? A sol gdzie?" "Nada kupić!" A ja: "Gdzie?" Pokaż mi, gdzie tu można kupić? Jeden sklep był po tej stronie, a drugi na naszej stronie, tej spławnej; dwa sklepy były- jeden tu i jeden tu- ale puste półki.

W Rybińsku był barak, to część Polaków w nim mieszkała. Mieszkało tam z pięć czy sześć rodzin, a reszta była zakwaterowana u rodzin. Nasza rodzina, t.j. Matka, Ojciec, Siostra i ja- nas czworo, mieszkaliśmy u jednych ruskich, też zsylnych ale z wcześniejszego okresu / z lat trzydziestych/. To był domek- nieduży domek. Oni mieli jeden pokój, a my drugi, a kuchnia była wspólna. U nich też były cztery osoby.

W Rybińsku ziemianek nie było; mieszkali w nich ludzie w kołchozach, ale nie tutaj.

Čęść ludzi, zamieszkałych w Rbińsku, pracowała na tych "uczast-

kach" leśnych /rewirach/. Były to takie rewiry, gdzie ludzie siedzieli i pracowali, bo to nie będzie każdy dzień pędził te 18 czy 20 km to jest trudno! Mój Ojciec pracował w pobliżu, tylko 3 km, to stale dochodził. Ja byłem brygadzystą ich wszystkich, to musiałem być i tu i tu- i kłamać tak jak oni. Oszukiwaliśmy ich przy odbiorze drewna. Potrzebowali normy- a wyrobić tej normy, której wymagali, ani jeden z tych ludzi nie mógłby. Nie umiał, nie był przyzwyczajony do tej fizycznej pracy, a nawet do takiej pracy sirzeba się "włożyć", trzeba pracować- a my nie takiego pokroju... Tej normy się nie wyrabiało, więc się oszukiwało przy odbiorze. Przychodził taki "dziesiątnik" /dziesiątnik/ do odbioru spiłowanego drzewa. To jego trzy razy przeprowadzało się do tego samego drzewa, tylko z drugiej strony; przeprowadzało się tak, żeby on się nie zorientował. A on tylko lubryką taką dwa czy trzy krzyże zrobił na pniach i już, no to nie trudno.... Póki myśmy szli dalej, to już moi koledzy odcięli to, co on tą lubryką pozaczył, nie wymazali, tylko odcięli- i znowu prowadziło się go do tego samego kloca, nawet zdarzało się, że i trzy razy! Bo tak nauczyli nas "ruskie". Oni, jak normy wyrobili, to dostają 600 g chleba, a my tylko 500 g, bo my nie wyrabiamy. "Wy duraki! Tak diełajtie" /Wy głupcy! Tak róbcie!/- uświadomili nas. No i myśmy tak robili, i potem wychodziliśmy na swoje.

Do wojska Rosjan nie brali, ale wybierali: to tu jednego, to tam jednego... nie było powszechnego poboru, bo to "zsyłne"byli. To ten enkawudzista Razzuwajew czy inny organizował- to taka zaraza była, niech go cholera weźmie!

Zimą pracowaliśmy na wyrębie lasu, a latem był spław- spychaliśmy drzewo do wody, robili te "płoty" /tratwy/, wiązali je i kierowali aż do Pałoczki. Ja raz przy tym skąpałem się- myślałem że koniec ze mną! Przeskakiwałem z jednego "płotu" na drugi, i przez nieuwagę nie przeskoczyłem- wpadłem do wody, i "płot" najechał na mnie. Przestraszyłem się okropnie, ale dobrze jeszcze, że nie straciłem chłodnego umysłu: starałem się wyjść nie w przód, ale w bok- i wy-

lazłem. Gdybym starał się wyostać do góry, to najeżdżałaby na mnie następna tratwa. A ci na górze pytali: "Gdzie był? Tut! Tut jego niet! Nyrnuł! Nyrnuł!" Dobrze mi "nyrnuł"!

Ojciec mój bardzo lubił łapać ryby. Miał gdzieś tam jakieś takie miejsce, że u niego brały! Dość dużo nawet nakapał; nie-raz jak się ich nasmażyło, to przecież było tego, starczyło dla wszystkich. Łowił na jakimś sznurku, po swojemu.

Kołbę też zbierał. Mieliśmy tej kołby nakiszonej w beczkach tak jak kapusty. I on jadł ją najwięcej; ja nie jadłem.

Zbieraliśmy też grzyby i jagody. Ale, proszę pana, moszka- niech ją cholera! Tam w Rybińsku, to też źle, ale jeszcze uszło, ale do tajgi zajść! Moszka tam...! Pan wie- ta moszka, i komary! Toż to przecież Matka poszła niedaleko do tajgi, poszał coś zbierać... i ledwo przyszła. Oczu nie było widać, takie szczeliny le- dwie były, tak spuchły powieki. Resztę twarzy miała zapakowaną, to one wciskały się w te oczy! Tak ją zakąsały, że cała twarz spuch- ła. Ona musiała podtrzymywać powieki, żeby zobaczyć, gdzie iść! Tak spuchła Matka. Wtedy jej już nie pozwoliliśmy chodzić samej.

Przy domu mieliśmy ogródek jakieś 10 arów było, a może i wię- cej. Tak więc na drugi i trzeci rok, tośmy już kartofle mieli, tyl- ko pierwszy rok ich nie było. Ale i tak wtedy zaliczano nas jeszcze do najbogatszych, ze względu na to cośmy ze sobą przywie źli. Zwła- szcza podobały się tutejszym firany, jak to oni nazywali -tiul. Jako oni na to lecieli! A u nas tego było!

Płatkowie i my- to byliśmy najbogatsi. To dla tego nasza mama wzięła od p. Daszkiewiczowej jedną córkę i karmiła ją. Mówiła do p. Daszkiewiczowej: "Ty ją oddaj; możesz jeszcze i drugą przysłać od czasu do czasu. Ta córka miała jakieś 10 latek, a potem była jesz- cze młodsza, taki drobiazg... Najstarsza miała pewnie 12 lat, a czworo ich było... A nic nie mieli, nic! Prawie że o jednej sukien- czynie przyjechały. To myśmy im dawali potem więcej; z darów ame- rykańskich ona dostawała dość sporo. No, ale Bogu dziękować- mło-

dzi przetrzymali, tylko parę starszych osób umarło: Gasperowicz, Zaszoft- ale to byli starsi. Gasperowicz to nie był jeszcze taki stary, ale miał suchoty. Zmarli też i inni, ale ich nazwisk nie pamiętam.

Tam ludność do nas była bardzo dobrze ustosunkowana. Ludność, a te władze- no to jak władze. "Polaczki, Polaczki"... Oni inaczej tam nie mówili, jak tylko "Polaczki". Nazdrościli mam, że otrzymujemy pomoc z zagranicy. "No my dumajem, czto wy toże nie ujedietie otsiuda! Wy nie wyjedietie. Wot my toże imieli nadzieđu, a uże żiwom skolko... ot tridcat szestogo goda, ot tridcat piatogo, żi - wiom i nie widim niczego. I wy tak toże nałerno..."/Myślimy, że wy też nie wyjedziecie stąd. Nie wyjedziecie. Myśmy też mieli nadzieję- a ile czasu już tu żyjemy... od trzydziestegoszóstego roku, od trzydziestego piątego, żyjemy i niczego nie widzimy. I wy też tak chyba.../ A my mówimy: " My wrócimy- Polska to jest co innego, to jest zachód, to cały świat wie..." Ale co im tłumaczyć. "O was dbają, a o nas nie! My bosy i gołyje, a u was i płatja, i kostiumy dla mułczin, i palta- wszystko^scie dostali" /My jesteśmy bosy i goli, a u was są i suknie, i ubrania męskie, i palta.../

W Białym Jarze nie było ani cerkwi, ani kościoła, nic. Ale u niektórych w mieszkaniach wisiały ikony w kącikach izb. Tam przecież nic nie było do 1936 r, a potem religia była strasznie prześladowana. Tylko ikony zostały.

W pobliżu były kołchozy- słabe, bardzo słabe, ale były. Pałoczka- to był większy kołchoz. Tam byli Ukraińcy, to oni dość dobrze pracowali, trzeba przyznać. Przywieźli ich jakoś w kwietniu 1940 r.

Wiem, że w okolicy Białego Jaru i Rybińska byli Polacy, ale nazw tych miejscowości nie pamiętam. Maksimkin Jar- to było tam daleko na wschód, mówiono, że byli tam Polacy. Pani Składanowska tam gdzieś była.

W Rybińsku była pani Sanecka z rodziną, z Wołkowyska; Wiśniewska, Guderska, Boratyńscy... Ale to człowiek już nie pamięta.

W 1943 r wydawali radzieckie dowody osobiste, ale połowa Polaków ich nie wzięła. Kto nie wziął- to straszili, straszili, ale... Ja sam nawet nie dostałem. Enkawudzista nawet mi pokazał, ale teraz ty siedzisz, jesteś aresztowany...

Mnie aresztowali w styczniu 1944 r., ale już wcześniej byłem śledzony. Kiedyś, jeszcze w 1943 r, kiedy płynąłem barką do Rybińska, to kobieta na brzegu powiedziała mi, że się o mnie pytali- gdzie on? Ona powiedziała , że mnie nie ma, że wyjechałem. Oni już mnie śledzili. A ludzie mi mówili "Pójdiesz do więzienia, tylko trochę poczekaj". I rzeczywiście- poczekałem, i doczekałem się.

Z Rybińska aresztowali tylko mnie jednego, i od razu powieźli mnie do Kołpaszewa, do więzienia. Za co mnie aresztowali- nie wiem. Powiedzieli mi, że za szpiegostwo na rzecz Sikorskiego, i że siłą chcieliście zmienić ustrój radziecki; siejecie wrogą propagandę! A myśmy pisali do Ambasady wyłącznie sprawozdania finansowe:przyjęto tyle..., wydano tyle..., dla tylu osób. To wysyłałem. Kopie zostawały, ale wszystko to potem zabrało przecież NKWD. Może oni tam i sprawdzali- ja nie wiem, ale do mnie nikt /z Polaków/ nie miał pretensji.

Po przewiezieniu do Kołpaszewa, trzymali mnie jakiś tydzień i w ogóle nie wzywali, a potem dopiero rozpoczęło się śledztwo. Ale to takie dziwne śledztwo: wmuszali, żeby się przyznać. To tak, że dzień i noc siedział człowiek na taborecie, a oni się kilka razy zmieniali. I nie pozwolili ci wyjść zjeść, nie pozwolili - za przeproszeniem- wyjść i załatwić się. ^Mnie tylko dwa razy uderzył ten Popow, taka zaraza. A tak to mnie nie bili; mnie wyczerpało to ustawiczne czuwanie. Oni popędzili do domu, wszyscy śniadanie zjedli- a ja bez śniadania, nie dali mi. No to chociaż chcę zasnąć. To tutaj nie wolno, bo tu cela, a strażnik przez okienko widzi. To starałem się oprzeć pod ścianą i zdrzemnąć tak, by strażnik tego nie widział. To strażnik zaraz "Ja nie wiżu..." /^Nie widzę cię/- bo policzył ludzi.

W celi był kontradmirał czy wiceadmirał Łotewski, pułkownik li-

tewski, jakiś starowier... Pięciu nas było. Michalewski był w innej celi; spotkałem się z nim dopiero po wyroku i procesie.

A śleńczy tylko mówili: "O, tot soznałsa, etot soznałsa..." A ja na to "A kto sosrałsa?" / Ten się przyznał, tamten się przyznał... A kto się zesrał?/. Mówię: "Wy każdego bijecie, i w każdego wmawiacie, no to co!" W końcu im powiedziałem "No to pisz! Ja podpiszę, bo już nie mogę cierpieć. Ja już nie mogę.". byłem gorzej jak pijany i jeść nie dali, i spać nie dali... takie śledztwo...

Prócz mnie sążeni byli wówczas: Bajraszewska, Zasim, Michalewski, Nazarewicz, Kulecki... siedmiu nas było. Ludwika Mickiewicza z nami nie sążili, nie widziałem go. Konecki również w tym procesie nie występował, nawet jako świadek. Oni wyjechali już w 1943 r, już ich tu nie było!

Rozprawa odbyła się w końcu kwietnia 1944 r. Obrońcą naszym na procesie była kobieta. Siedzieliśmy na ławce na sali rozpraw, a ona przyszła i mówi: "Ja wasz zaszcitnik, no niczewo wam nie pomogu! Wy zaszciszczajties sami. Wy Polaki, to wy skażicie, czto wy zakonow Sowietkowo Sojuza nie znali, u was sowsiem drugije, i wy nie znali, i poetomu mogli dziełać..."/Jestem waszym obrońcą, ale wam niczego nie pomogę. Brońcie się sami. Jesteście Polakami, to mówcie, że nie znaliście praw Związku Sowieckiego; u was są całkiem inne, wyście nie wiedzieli, i dlatego mogliście zrobić coś złego". A ja mówię: "A jak my nic nie zrobiliśmy?" A ona: "Eto niczewo, ob etom daże nie goworitie, tam uże wsio zapisano, tam ono uże. Tam nawierno wasz towariszcz posłał im zapisku.."/To nic, o tym nawet nie mówcie! Tam już wszystko zapisane, już tam jest. Tam zapewne wasz kolega posłał im notatkę.../

To było tuż przed procesem, a na przesłuchaniach- tośmy jej nie widzieli. Dopiero kiedy nas przyprowadzili na salę rozpraw, to do nas podeszła i mówi "Ja wasz zaszcitnik..." A jaki tam "zaszcitnik", jeśli mówi "Ja niczewo wam nie pomogu, zaszciszczajties sami!"

Potem był ten sąd, parodia sądu; zaraz nas przewieźli do wię-

zienia i na drugi czy trzeci dzień od razu nas wywieźli do Nowosybirsk, do łagru numer 4. On się nazywał "Swietłana"- bo tam obok była fabryka "Swietłana", gdzie wytapiali szkło. Takie ogromne przemy wozili tego kwarcu, ale to jakieś takie czerwone... Szkło "gotowali" i dmuchali- robili butelki... Ale to już po zbudowaniu, a z początku myśmy jeszcze tę fabrykę budowali.

W łagrze nr 4 nas od razu do pracy posłali. Potem nas cichaczem zaczęli rozsyłać. W łagrze nr. 4 budowaliśmy tę hutę szkła, potem ją zbudowaliśmy, i w 1945 r. zaczęli nas wywozić, rozsyłać- ale pojedynczo, nie wiem dla czego- ale wszyscy pojedynczo, i już straciliśmy łączność między sobą. Nie żeby to były etapy, dużo osób, tylko po jednym, jak np. mnie jednego. Mnie jednego prowadzili po śniegu, i jeden strażnik szedł za mną. A ja z tym workiem musiałem iść, gdzie kazano. Pracowałem tam w jakiejś brygadzie śmieciarskiej. Długo tam nie popracowałem, i mnie przerwali do Kriwoszczokowa, do łagru nr 3 przy fabryce min. Nowosybirsk jest po prawej stronie Obu, a to była lewa strona, czyli zachodnia. To było niby przedmieście, ale Ob tam szeroki, ma chyba z półtora kilometra! Tak, że tam nic nie dochodziło; w Kriwoszczokowie były same fabryki, obozy i fabryki! Tam były wszystkie te obozy.

Tam doszło do tego, że straciłem wszystkie siły. Jedzenie było bardzo słabe, praca ciężka- bo to gotowanie surówki z rudy żelaza i potem rozlewanie do tych skorup. Gorąco tam! Co chwila i pijesz i wydalasz jednocześnie, tutaj pijesz a tu wydalasz! Taki gorąco! Tam chodzić nie można było butami, tylko dali walonki- chociaż to lato było! Dlatego, że nie można było chodzić po gorącym piasku; piasek gorący i buty się niszczyły, to myśmy dlatego chodzili w walonkach. Gorąco, pot leci ciurkiem, a jedzenie- wiadomo, brak go... I tak doszedłem do tego, że koniec ze mną! Zrobiłem się "dochodiagą"!

Naczelnik Sanzasti /oddziału sanitarnego/, Jelena Matwiejewna sama mnie badała i mówi "No to cóż..." I zrobiła mnie takim "dniewalnym" /dyżurnym porządkowym/, takim do jej pomocy. I ja tam właś-

nie byłem u niej i jej pomagałem. To tam trochę odżyłem, bo dostawałem więcej jedzenia i pracowałem kiedy chciałem, kiedy nikogo w pomieszczeniach nie było: ich nie ma, a ja sobie sprzątam, jest czysto. Ta lekarka, która mi pomogła, była żoną pułkownika służby medycznej. Jej mąż był na froncie, a ona tutaj w obozie, u nas. Była tu lekarzem na wszystkie obozy, bo u nas były dwa baraki szpitalne, oraz jeden barak, w którym odbywały się przyjęcia chorych. Tam pracowało trzech lekarzy- więźniów: Żyd rosyjski, Litwin i Rosjanin, i dwu wolnych- razem pięciu lekarzy tam przyjmowało. Tam przyjmowali do stu ludzi- chorych więźniów- a może i więcej, wieczorem. Więc jak ja poszedłem, to ona mnie zatrzymała niby na leczenie; ja pomagałem i odżywiałem się. To była rosyjską Żydówką, ta lekarka. Ładna, trzeba powiedzieć, na twarzy ładna. I dobre serce miała ta kobieta, bo druga- to była taka zaraza... Tylko wybierała chłopów, takich zdrowych, żeby ją tam "przaciągnął" dobrze na łóżku.

Tam w obozie i kobiety były. Byli też i złodzieje- "urki". Tych leczyli, bo oni zaraz chorowali na kiłę. A jak który na to zachorował, to był taki specjalny obóz, do którego ich kierowali. A oni tam nie chcieli iść, więc przychodzą do mnie i proszą. A ja co? Muszę iść do lekarza. Idę i proszę; do tego Litwina można było podejść, a tego Lifszycy, rosyjskiego Żyda, to ja się bałem- myślałem, że to jest "ich" człowiek. Szedłem więc do tej Jeleny Matwiejewny i mówię: "Jelena Matwiejewna, mnie prosił tot i tot... Sdiełajtie wy dla mnie eto!" /Prosił mnie taki a taki, zróbcie to dla mnie.../ "On mnie pomożet". "Dla tiebia, Edward, sdiełaju" /Dla ciebie, Edwardzie, zrobię to/. Niestety, nazwisko jej zapomniałem. A nazwisko tego lekarza- więźnia- to Lifszyc.

Więc gdy ona pozwoliła, to szedłem do lekarza Litwina- nazywaliśmy go Anton Antonowicz- żeby on powiedział, jak leczyć kiłę. Więc ten "urka" przychodził tam gdzie mieszkałem, w pomieszczeniu przychodni lekarskiej, i moczył te swoje członki w jakimś roztworze a potem dawali mu jeszcze jakieś zastrzyki.

Za to potem ten "urka" mi się odwdzieczył. On był tam u nich samym "najstarszym", i oni wszyscy się go bali. Gdy mi coś ukradli- to na trzeci dzień przynieśli! Nie pamiętam, co mi ukradli, więc mu się poskarżyłem. Spytał tylko "Kto?" - a ja "Otkuda znaju?" /Skąd mam wiedzieć?/ "Nieczewo, zawtra budiesz imiet" I faktycznie, na trzeci dzień mi to przynieśli. A ja mówię do tego, który przyniósł "Eto ty?" "Niet- mnie skazali priniesti wam. A kto on- nie budietie znat' i nie na da wam znat'" /"Czy to ty ukradłeś? Nie, kazali mi tylko przynieść. A kto ukradł- nie będziesz wiedział, i nawet nie trzeba, żebyś wiedział/.

Jak ja tam pracowałem, to pomogłem dużo i Polakom, i Rosjanom. Był np. taki inżynier Gorianowicz, starszy inżynier, budowniczy mostu Kierbedzia w Warszawie. Też był już dochodiagą. To mu powiedziałem: "U mnie w pokoiku jest zupa- to idź zjedz." Od czasu do czasu dostałem "lisznią" /dodatkową porcję/ "pajkę" chleba- to mu też dałem. On dostał się tam mniejwięcej w 1939 r. Inteligentny człowiek, grzeczny- a taką biedę cierpieć!

To ja dopiero przez tego inżyniera Gorianowicza "spisałem się" /nawiązałem korespondencję/ ze swą rodziną. Ja nie wiem, to już taka boska moc w tym była...Bo mnie nie dawali pisać. Nie wolno! To on napisał do swojej żony, ona podała adres moich rodziców /którzy byli już w Malborku/ i przez niego podałem list do nich.

Szkoda, każdego człowieka szkoda... Tych urków, to ja wcale nie lubiałem, a tych- to mi było szkoda, to jak mogłem, tak im pomagałem. Zatrzymałem parę osób, których chcieli wysłać na ten Namangan Zatrzymałem nie ja- ale poprosiłem, to ich zatrzymali. Ale wtedy już trochę coś znaczyłem.

Ale przyszedł taki moment, że Jelena Matwiejewna przyszła i mówi: "Edward Silwestrowicz, ty jediesz!" A ja jeszcze nie wiedziałem o tym że mam jechać. "Priszło s Moskwy, tiebia wysłać w Norylsk, a ja tiebia zadierzać nie mogu. Żańko mnie tiebia, no nie mogu. Eto nie ot mienia zawisit, priszło rasporiażenije s Moskwy" /Przyszło z Mo-

skwy, żeby cię wysłać do Norylska, a ja cię nie mogę zatrzymać. Żal mi cię- ale nie mogę. To nie zależy ode mnie, przyszło rozporządzenie z Moskwy/.

2. N O R Y L S K

I faktycznie mnie zabrali, jakoś na trzeci dzień. Zabrali mnie wiosną 1948 r. i zawieźli mnie do Krasnojarska, na "pieresyl-nyj punkt"/punkt tranzytowy/. I tam byłem prawie że do jesieni. Ostatnim transportem zawieźli mnie statkiem do Norylska- to też gdzieś pod koniec września. A całe lato siedziałem w Karasnojarsku. Nie wiem dlaczego- przywieźli tak wcześnie, a odprawili ostatnim transportem. Oni zbierali i wysyłali takimi partiami, a mnie w ostatniej chwili...

No więc zawieźli mnie wtedy od razu do Dudinki. Przyjechaliśmy do Dudinki- to port przy Jenisseju. Tam przeładowali nas na wagoniki, bo była tam kolejka wąskotorowa, troszkę szersza jak nasze wąskotorówki. Kolejka ta dochodziła do Norylska, i nas przywieźli do Norylska, od razu do obozu nr 4. Ale ja tam byłem tylko- bo ja wiem- chyba z pół roku. Zaraz mnie wezwali enkawudziści i chcieli mnie zrobić takim donosczykiem. Ponieważ ja odmówiłem, to mnie bach!- na Miedwieżkę mnie wywalili.

Miedwieżka- to była odkrywkowa kopalnie miedzi, i nie tylko miedzi. Ruda bardzo bogata, wiele różnych składników miała. Miedwieżka- to była góra, Miedwieżką ją nazwali, bo tam niedźwiedzie były, czy coś. Kopalnia więc była wysoko, a trochę poniżej tej góry zbudowali taką "obogatitielną" fabrykę /zakład wzbogacania rud/. Wożono tam rudę wielkimi samochodami ciężarowymi- Białorusami. Te wielkie maszyny dowoziły rudę do młynów. Tam rudę mełli prawie że na mąkę, którą podawano do ogromnych kotłów- ale to jakie kotły! Do tej sypkiej mąki w kotłach dodawano jakieś chemikalia; wykorzystywano tu różne ciężary gatunkowe, i każdy ze składników osiadał na innej wysokości, niżę cięższe. W kotłach były rury wstawione na różnych wysokościach, i to zaraz "jechało" tymi rurami do tej fabryki. Tak np. miedź jechała

do przerobu zapewne do rafinerii, a była ona położona ze cztery kilometry dalej! Były to wielkie rurociągi, chodzić można było po tych rurach. Były one obłożone szklaną watą, tak grubo, że tam nie zamarzło nic zimą. Te rury właśnie dlatego były tak grube, że obłożone; chodziliśmy po nich. Dwie rury szły do fabryki miedzi, inne szły do innych fabryk. Było to bardzo ciekawe, to wykorzystanie różnych ciężarów gatunkowych.

W kopalni pracowałem przy kopaniu ręcznym nadkładu- była to i ziemia, i trochę skała. Były też świdry, świdrowało się otwory, zakładali ładunki wybuchowe i "wzrywali"/eksploadowali/ je. Potem ogromne ekskawatory zbierały to, ładowały na ciężarówki, i wywozili rudę do "obogatitielnoj" fabryki, tam gdzie te młyny były, ale to ogromne młyny! Kiedyś tam popatrzałem, jak takie potężne kolce obracając się, rozdrabiały tę skałę, i to potem szło dalej. W końcu ruda podawana była do takich "czanów": były to te ogromne kadzie, gdzie sypali rudę w postaci mączki i dodawali chemikalia. Bardzo ciekawa to była fabryka- a była tam nie ona jedna.

Jedna fabryka była zupełnie tajemnicza; mówili, że tam robią "ciężką wodę". Tam nie wolno było nikomu podejść blisko, a ci, co tam pracowali- to nie mogliśmy się też z nimi skontaktować, i ich nie widzieliśmy. Gdzie oni ich podziewali- może ich zabijali potem? W każdym bądź razie to była taka tajemnica ogromna! Trzy zony, trzy ogrodzenia wysokie, tak że tam nic nie można było widzieć.

Oprócz tego była tam masa mniejszych fabryk.

Z miedzi to robili takie cegiełki, widziałem je. Cegiełki zastygają, i sama miedź tam jest. Czy dodawali coś tam, aby twardsze były? Prócz miedzi była tam i platyna, i złoto, i wolfram i inne- toż to cenne metale. I jeszcze jest jakiś jeden metal bardzo rzadki- tytan? To wszystko oni tam mieli. To straszne bogactwo!

Ale gdyby tam nie było kopalni węgla, to byłby koniec. Jednak tam i kopalnia węgla była niedaleko. Iluż ludzi tam przy węglu pracowało! Toż tam wtedy obliczali, że ludzi jest ze 120 tysięcy, to ra-

zem z więźniami. Przedewszystkim to byli więźniowie, a reszta to "naczelstwo" i ci co pilnowali. Ale potem to już zaczęły rodziny przyjeżdżać- gdy "Dorstroj" zaczął budować domy. My mieszkaliśmy w łagrowych barakach, a potem nawet ja dostałem mieszkanie. Dostałem je dzięki mojej własnej przezorności- ale to potem, po roku 1952, gdy wyszedłem z obozu.

Kiedy tam pracowałem, na tej Miedwieżce, to drugi raz "cynga" /szkorbut/ do mnie się przyczepiła, i zęby zaczęły wylatywać, nawet nie wiedzieć kiedy. Jadł, jadł, i patrzysz... Dwa czy trzy zęby to połknąłem, z chlebem jakoś. Patrzą- były zęby, i już nie ma! A ja ich nie wyjmowałem, to z chlebem pewnie zjadłem. Zachorowałem znowu, to wtedy przerwali mnie do łagiera nr 5, centralny obóz, a z tamtego obozu mnie zwolnili. To było mniej jak rok przed zwolnieniem. Pracowałem tam w takiej brygadzie, co podmiatała wszystko- taka brygada porządkowa, na całym terenie porządki robiła.

Gdy mnie zwalniali z obozu, to powiedzieli: "na posielenije wiecznoje" /na wieczne zamieszkanie, na wieczny pobyt/"Będziesz tu żyć i pracować, nigdzie stąd nie wyjedziesz. Nie imiejesz prawa. Połtora kilometrów jeśli ciebie najduć za Norylskom- to możesz opiat' najtiś w łagierie"/Nie masz prawa. Jeśli cię znajdą półtora km za Norylskiem- to możesz znowu znaleźć się w obozie/. To było tylko zwolnienie z obozu!

Kiedy jeszcze siedziałem w obozie, to siedział też tam sowiecki ambasador w Rumunii, i tam go poznałem. Potem zrobili go naczelnikiem handlu w Norylsku. Więc ja do niego poszedłem i poprosiłem o pomoc. On powiedział, że bardzo chętnie, zrobi się, musi tylko zobaczyć, gdzie mnie "wsunąć". I "wsunął" mnie właśnie do inspekcji handlowej. Zostałem wtedy "buchgaktier-rewizor". Mam jeszcze legitymację, taka wąziutka, czarna; napis "Buchgaktier-rewizor" i zdjęcie. Bo potem tam już były sklepiki, i ja miałem prawo przyjść nawet do każdego więzienia na kontrolę. Kontrolowałem finanse w tych sklepach,

Норильскторг комбината

УДОСТОВЕРЕНИЕ № 1.

Предъявитель сего тов. Сейко-Сей-Кевич Эдуард Семенович работает в Норильскторге в качестве ревизора.

имеет право производить проверку в предприятиях Норильскторга

Начальник Норильскторга комбината *А.Б.Сабсай*



ДЕЙСТВИ
по _____
Н-к Норильскторга ✓

Jedyny ocalały dokument - legitymacja rewizora.

Str. 1.

Norylsktorg kombinatu.

LEGITYMACJA Nr 1.

Okaziciel niniejszego tow. Edward Sietko- Sietkiewicz Edward s. Sylw. pracuje w Norylsktorgu w charakterze rewizora ma prawo dokonywać kontroli w przedsiębiorstwach Norylsktorgu.

Naczelnik Norylsktorgu kombinatu /A.B.Sabsaj/
Pieczęć okrągła z napisem w otoku:

"Norylski Górniczo- metalurgiczny Kombinat-Zarząd Handlu"

str. 2

W A Ż N E

do 30 czerwca 1956 r.

N-k Norylsktorgu / A. B. Sabsaj /

To zawdzięczam temu właśnie ambasadorowi; Sajsaj jego nazwisko. Tam nie tylko on - tam każdy pomagał jeden drugiemu. Oczywiście - cie tym, których znał. Bo nawet w naszym rządzie teraz - działają ci, co się nawzajem znają!

Kiedy już pracowałem jako ten inspektor handlu, miałem szanse na łatwiejsze wystąpienie się o mieszkanie. W tym czasie wszyscy się żyli skromnie: brak tego, brak tego - a ja miałem dostęp do najlepszych rzeczy. Nałożyłem więc pełną teczkę specjałów, koniaczku położyłem, różne konserwy - i poszedłem do kierownika od spraw mieszkaniowych. Zaniósłem mu tę teczkę raz i drugi, nie pamiętam już ile razy... On najpierw spytał "Podanie złożyłeś?" "Złożyłem" "Dobrze, rozpatrzemy!" No i po jakimś czasie przychodzi papierek: "Proszę zajmować mieszkanie w domu nr. 61, ulicą Monczygowskaja" - jeszcze dziś pamiętam! Ale numeru mieszkania nie pamiętam. Ten dom miał chyba cztery podjazdy, ogromny dom. To wszystko było budowane na skale, fundamenty na skale, ale ciekawe, że na takich słupach. Te słupy stawiali na skale; nieraz i do ośmiu metrów głębokości kopali, zanim się do skały dokopali. I te słupy miały ponad pół metra średnicy.

Wszystkie te domy były murowane, i w budynkach było centralne ogrzewanie. Była tam TEC - centralna stacja ciepłowni, która ogrzewała miasto i zarządy i fabryki - wszystko. Ogromna TEC. Gdy myśmy tam przyjechali, to ona już była zbudowana.

Jeszcze zanim wyszedłem z obozu, poznałem się z moim przyszłym teściem, który mi dopomógł przetrwać. Był to Stanisław Niwiński, inżynier - mechanik, który pracował w Norylsku. Do Rosji dostał się już w czasie pierwszej wojny światowej; gdzieś w 1918 r był aż pod Władystokiem, i nie potrafił wyjechać. I on tam został, tam się ożenił i założył rodzinę. A jego rodzice i rodzeństwo mieszkali w Polsce, pod Warszawą koło Radzymina.

Ale w 1936 r wszystkich Polaków wzięli "za frak", to i jego wzięli. Ponieważ on był inteligentny i wykształcony, to skierowano go do

pracowni Tupolewa /tego konstruktora samolotów/. Jak Tupolew siedział, to on był razem z Tupolewem. Tam oni robili samoloty, on mu pomagał w obliczeniach, w każdym razie był w tym biurze u Tupolewa. Gdy odsiedział swoje 10 lat, to go wywieźli na zsyłkę do Norylska. Potem przyjechała tu jego żona i córka. On się skądś dowiedział, że ja Polak, może słyszał rozmowę- i zawołał mnie do siebie. Siedziałem u niego w biurze i nic nie robiłem; potem on zrobił leżankę i mówi "Leż". I to jeszcze jak byłem w obozie! Ja siedziałem u niego, a on to tam jakoś opłacał. Potem, jak wyszedłem z obozu, to zaprosił mnie do siebie, do domu.

Miałem tam kolegę, który i teraz jest w Krakowie: Czesiek Łotarewicz. On pracował tam u Niwińskiego na tym "miednym zawodzie"- w fabryce miedzi. I Łotarewicz pewnego dnia mówi: "Ciebie Stanisław Mstiniowicz prosi, abys przyszedł do niego". Poszedłem z kolegą Łotarewiczem- i tam poznałem córkę Niwińskiego- a jemu pewnie i o to chodziło. No bo Polak... Przedstawiliśmy się sobie, zapoznaliśmy... a ja wiadomo, młody, to mi też krew grała. A najważniejsze, że nie mogłem sobie poradzić ani z gotowaniem, ani z praniem- ot z tymi przyziemnymi rzeczami. No to prędko poszliśmy i zapisaliśmy się w Zagsie /USC/.

Potem zacząłem tego inżyniera molestować, żeby mieszkanie dostać /o czym mówiłem już poprzednio, i dostaliśmy to mieszkanie. Dostaliśmy duże mieszkanie, a mebli nie ma! To ja najpierw jakieś skrzynki stawiałem zamiast mebli. Dostałem łóżko, i to co przywieźli z "Wielkiej Ziemi"- ale mebli, to było wtedy mało.

Więc gdy dostałem to mieszkanie, mówię do teścia: "Po co tam będziesz sam w tym pokoiku. Tam trzy pokoje- i trzy rodziny, a kuchnia jedna. Rzuć to, bo u mnie są dwa pokoje." Miałem też i łazienkę; wany co prawda nie było, tylko prysznic. Wanię nie można było wtedy dostać, to tylko prysznic zrobiono, z ciepłą wodą, nawet gorącą, bo to z TECu. Miałem dwa pokoje i trzeci- taka alkowa. U niego były trzy osoby, i nas dwoje- to pięcioro... A potem urodził się nam syn, ale wszystko jedno: dwa pokoje i alkowa i kuchnia i przedpokój- już

można było jakoś przyzwycięzić miszkać. I teść zamieszkał z nami.

Potem umarł Stalin; mam jeszcze z tego dnia pamiątkę. Działo się to w nocy; ja już wolny byłem; zebrano nas wszystkich i kazano stać, amróż był- jak diabeł, i nie wiedziałem, że... Gdy przyszedłem do domu, patrzą- a u mnie nos biały! Odmroziłem. Od tej pory paskudzi się zawcze, coś na nim rośnie, jakieś krosty. To taka pamiątka, bo zmusili wtedy stać na mrozie...

Jakoś myśmy wtedy zaczęli żyć. Ale jego- Niwińskiego- rodzina zaczęła się starać o rehabilitację. Pojechała "macocha"- t.zn. teściowa, tak ją nazywałem- bo była wolna, do Moskwy, do samego Woroszyłowa, a był on wtedy przewodniczącym Rady Najwyższej. Pojechała, czekała trzy dni- ale przyjął ją. Złożyła mu tam wszystkie papiery, powiedział : "Rozpatrzemy". I faktycznie Sąd Najwyższy rozpatrzył jego sprawę i rehabilitował go. Ponieważ sąd zarządził był konfiskatę "imuszczestwa" /majątku/, i zabrano mu wszystko- to za te dziesięć lat, które siedział, zapłacili mu, i zwrócili mu mienie, czy jego równowartość. On wyjechał latem 1955 r, i w Nikołajewie kupił sobie za te pieniądze dom. On wyjechał latem, a ja w listopadzie 1955 r.

W wyjeździe stamtąd pomógł mi brat; pisałem o tym w swych wspomnieniach. On pracował w Krakowie, zawarł tam znajomość z konsulem sowieckim. Pojechali razem do Warszawy, potem do Ambasadora Polski w Moskwie, Marii Wiernej, tam wręczyli jakieś papiery- i przyszło to do mnie do Norylska. Wezwał mnie kiedyś komendant NKWD i mówi, że przyszły papiery z Ministerstwa Spraw Zagranicznych "człoby ciebia uwolnić" /aby cię zwolnić/ "Sadiś i piszi" /siadaj i pisz/. I dał mi taką ankietę, co najmniej ze sześć stron, taka jak zeszyt. I pisałem wtedy tę ankietę u niego! Nie dał jej do domu, tylko tam, na miejscu "Piszi!" To ja tam pewnie z półtorej godziny siedziałem i wypełniałem tę ankietę. Musiałem sobie przecież wiele rzeczy przypominać- tam nawet potrzebowali nazwisko mojej babki "z domu" ! Wiem, że miała na imię Apolonia, ale nazwiska i dzisiaj nie pamiętam. A oni potrzebowali i to. A kim byli, a co robili... Trochę

musiałem i upiększyć, no bo bałem się, że jeszcze może te cholery zatrzymają mnie. Mówię, że już jestem żonaty, że mam dziecko... Wszystko to enkawudzista też spisał i mówi: "Idi, wyzwoiom!" /Idź, zawezwiemy/. I trzeciego czy czwartego listopada 1955 wzywa mnie. "Zwalniaj się. Za trzy dni możesz jechać!" To trzy dni też mi dał na przygotowanie wyjazdu. Zwolnili mnie, zapłacili za "otpusk" /za niewykorzystany urlop/, zabrali mi obligacje pożyczki, które miała żona. Wypłacili mi za te obligacje: żony, moje, i teścia. Ja wtedy podsunąłem im ich dużo! Zapłacili wszyściuteńko. Rano przyjeżdżają po mnie- a tu u mnie pełno kolegów. Oni jeszcze zostawali. Ja na trzecim piętrze mieszkałem, ale koledzy w 5 minut mi wszystko znieśli: "Bądź spokojny! Tylko staraj się o nas!"

Dużo Polaków tam było i zostało- może tysiąc? Tam był jeden kolega z Wołkowyska, Żyźniewski Aleksander; on dostał 15 lat i był w "sekretnym" łagrze. Pisałem w jego sprawie- ale "cugu" nie ma /nic się nie robi w tej sprawie/. A był to mój sąsiad, taki jak Gasperowicz czy Sliwiński, uczyliśmy się razem w jednej klasie, i biegali razem- i nie wiem, gdzie on jest, ten Żyźniewski. 15 lat mu dali- ale czemu dali? To nie wiadomo, jak oni tam dają.

A potem- na samolot. Na samolocie przelot bezpłatny. Przyjechali "maszyną", "pogruzili"... Nie płaciłem nic. Potem jakiś tydzień czy dwa mieszkałem w szkole, w Krasnojarsku. Syn miał wtedy dwa lata.

Trzeba wiedzieć, że z tych obozów nie wolno było pisać. Poczta jak gdyby nie istniała. Do nas- jeśli ktoś się dowiedział- to przychodziły listy, a od nas- nie. Ale pracowali tam wolni- to się da takiemu wolnemu, i on wrzuci list, i to wtedy dochodzi. To ja tak dawałem listy temu Gorianowiczowi... Takim sposobem- wolnym się dawało, którzy tam pracowali.

Trzeba powiedzieć, że Żydów polskich było tam dużo- i pomagali! Trzeba powiedzieć, że jacy oni nie byli, Żydzi- a pomagali Polakom. Ile mogli, tak pomagali. Był jeden Fuchs, pamiętam, potem drugi - Apfelbaum- ale oni zdaje się do Izraela uciekli, bo ich nie ma w

Polsce. Starałem się i pisałem- ale ktoś mi powiedział, że tutaj tylko przyjechali i zaraz ekspediowali się do Izraela, bo tutaj- mówią- za długie ręce sowieckie...

Były to okolice za kołem podbiegunowym. Jak człowiek się do tego aklimatyzował? Gdy był dzień, ten cały okrągły, to u nas koce na okna zawieszano, i się spało. A wstaje się według zegarka, budzika. Wstaje się, i trzeba iść- a czasem mróz jak diabli! Mrozy to tam dochodziły do 60^oC, a najstraszniejsze jest jak jakieś 35-40^o i wiatr! To tak, jak gdyby ktoś dźgał nożem odkryte części ciała, takie uczucie dźgania nożem. Straszne. Ale tam znowu, jak więźniowie pracowali, to oni obliczali, uwzględniali siłę wiatru. Jak np. wiatr północny- to doliczano do wskazań termometru cały procent; ile metrów na sekundę. Jak np. 5 m/s - to 5 stopni, jak 7 m/s to 7^o, to dodawało się do wskazań termometru. Dajmy na to jest temperatura 35^o, a wiatr północny 7 m/s, to razem 42^o. I już wszystko stoi, już nie wolno nazewnątrz nic robić. A wschodni wiatr, to oceniano troszkę mniej, a południowy- jeszcze słabiej. Tak, że to oni wszystko obliczali. Ale ponad 40^o już nazewnątrz nie pracowało się, nawet więźniowie. No bo nie wytrzyma! Nawet poruszając się cały czas to i tak nie wytrzyma. Ale w pomieszczeniach to pracowali.

W czasie nocy polarnej człowiek kładł się spać według zegarka. Przespał się- zegarek budzi, wstaję, ubieram się i idę na robotę. Potem znowu coś się zjadło...Tam w nocy, to nie chodzili ludzie do siebie tak dużo. Teatr tam był, tak- doskonały. Sąsiadka nasza była aktorką, to my zawsze mieliśmy bilet do tego teatru, to zawsze chodziliśmy. Do tej Jewgenii Jakowlewny /teściowej mojej/ mówi: "Biletyki imiejem w teatr. I dla was, i Eduardu, i Lidii, i wsiem" /Mamy bilety do teatru- i dla Pani, i dla Edwarda, i dla Lidii, dla wszystkich/. Tak, do teatru chodziliśmy już wtedy.

I jakoś nie czuło się już tej opieki NKWD, tyle tylko, że trzeba było chodzić się meldować. Z początku 2 razy na miesiąc, a potem to tylko raz na miesiąc, w wyznaczone dni.

Moszki i komarów w Norylsku nie było. Tam błot nie ma. Jenissej jest odległy od Norylska. Linia kolejowa do Dudinki liczy 120 km, ale do Jenisseju było bliżej, nawet poniżej 100 km. Bo Dudinka już bliżej Oceanu Lodowatego. Norylsk był w górach, więc tam nie ma żadnych rozlewisk, gdzie by te komary się lęły, to tam tego diabła nie było.

Po zwolnieniu z obozu nam płacili, ale tylko wolni dostawali dodatki za pracę w warunkach północnych, my nie. Co pół roku 10% dodatku, a jeśli on trzy lata odpracował i nie miał urlopu, to płacili mu za te siedem miesięcy za urlop i płacili bilety tam i z powrotem na samolot. Tam i z powrotem "do wód". To oni, wolni - a my nie. Nam nic, tylko goła pensja. To u mnie żona taki dodatek dostawała, a ja nie. Ale ja i tak miałem lepiej, niż ona! Mnie przynosili /byłem przecież rewizorem/ Czasem teściowa mówi "Siewodnia przywieźli jaszczik jabłok" /Przywieźli dziś skrzynkę jabłok/ "A kto"- ja pytam. "A ja razwie znaju!?" /Skąd mam wiedzieć?/"Ja nie znaju, on nie skazał" /Nie wiem, on nie powiedział/.

A jabłka to tam dowożono samolotem z południa. Na miejscu tam niczego nie uprawiano. Lato trwało do dwu miesięcy, to tylko trawa troszkę wyrosła, ale tam nic nie dojrzewało. Ale krowy trzymali! Krowy przywieźli, siano przywozili - i mleko było, zwłaszcza dla dzieci. To przecież mój chłopak dostawał przez pół roku taką kaszkę, nie ryż, tylko kaszkę ryżową, na mleku gotowaną. Trzeba było po to chodzić, a dawali tego litr, dla dzieci. Mój syn dostawał, ale my nie, dla starszych nie, ale tylko dla dzieci trzymali te krowy.

Dla starszych wszystko było dowożone, nawet kartofle. Były to suszone kartofle, i wszystko inne: i suszone buraczki, i marchewka, i pietruszka - wszystko suszone. I jabłka suszone - bo to lżejsze, i wszystkie owoce suszone. Ale przywozili też i kartofle "świeże" - ale to nie wszyscy dostali. Zapisywały na to Profsojuzy /Związki Zawodowe/ i oni dzielili. Jak przywieźli, to tam dostali po jakieś 20 kg, ale czy to na zimę starczy? To tylko symbolicznie dawali; przywieźli - to

dawali.

Tam było źle. Wszędzie brakowało- a tam nie brakowało! Ale też to były już lata 50-te. W 1952 r. mnie zwolnili, to w roku pięćdziesiątym trzecim, w pięćdziesiątym czwartym to już dobrze tam nawet było. A ja jeszcze pracowałem, żona też, chłopaczek maleńki tylko. Tak że nie można powiedzieć...

Z Krasnojarska przyjechałem do Polski w grudniu 1955 r. Przez Giżycko przyjechałem do Malborka, bo Ojciec był w Malborku- to ja do Ojca i do Matki. Lasów tutaj nie ma, na Żuławach, aby pracować w leśnictwie trzeba było wyjechać bardziej na południe- to mówię: pójdę na kurs. I poszedłem na kurs dyżurnych ruchu na kolei. Uczyłem się w Gdańsku trzy miesiące na tym kursie. Tam mieszkałem, a pensję płacili, to ja pensję oddawałem żonie, a oni karmili. Ale potem kolega miał wypadek na kolei, i to mi odebrało chęć do pracy na koleji i wróciłem do pracy w leśnictwie.

W 1962 r. odwiedził nas teść, Niwiński. Przyjechał do Ryjewa, był u nas, potem pojechaliśmy do Krakowa, do mego brata, pojechaliśmy do Częstochowy. W Krakowie u brata tośmy nawet jeden wieczór popili. Nikogo nie było, bo brata żona gdzieś wyjechała, i my tak trochę- pamiętam jak dziś!- popiliśmy. Teść mówił /on mówił jeszcze po polsku/: "Mnie tożę nrawitsa, czto tak w Polsce charaszo/Podoba mi się, że w Polsce tak dobrze/. Ale ja nie zostanę, ja pojedę. Ja już "obrusiał"- mówi- a gdzie teraz swoich szukać na stare lata będę, nie wiem nawet, gdzie ich szukać. Tam przecież żona została". A żona jego była w Odessie; miał też tam przybraną córkę, to wspominał, że trzeba coś dla nich kupić. Więc kupiłem jedwabiu białego na suknię ślubną. Jak on się ucieszył! "Sam nie masz- mówi- a kupujesz!"

On umarł na Krymie^{x/}; jest tam takie "Jaskółcze Gniazdo"- on tam umarł w tym sanatorium, i stamtąd go dopiero przewieźli... A żona jego była w Odessie. Po jakimś czasie napisała do mnie:"Postawiłam mu wspaniały pomnik. Sprzedałam jego rzeczy i postawiłam pomnik. Bo on u mnie na to zasłużył".

x/w 1968 r.

Z pobytu na Syberii - w Narymie i Norylsku - pozostał mi tylko jeden jedyny dokument: legitymacja "buchgaltiera-rewizora". Popierwsze - wszystkie dokumenty, jakie miałem, zarekwirowano mi podczas aresztowania w 1944 r; zabrano wszystko - nawet młodzieńcze fotografie, nie mówiąc o dzienniczku, prowadzonym w Narymie. Po drugie - w obozie nie wolno było mieć niczego; rozbierali do naga i jeszcze kontrolowali rozkazując "Nachyl się!" - czy czegoś nie ukryłem w odbyticy. Zabrano mi tam nawet pamiątkową papierosnicę z pleksiglasu, którą otrzymałem w obozie w Nowosybirsku. Jedyny dokument - zwolnienie z obozu - zabrał komendant NKWD w Norylsku przy okresowym meldowaniu się. Ocalała tylko legitymacja, bo

wtedy już byłem "wolny". Na tym koniec moje opisywanie przeżyć przez męża w tych strasznych warunkach, tam gdzie diabeł mówi "dobranoc", są one autentyczne, nieprawdy albo emblematy, jak czytałeś te opisy przyrody, bo ona jest - tundra / tajga / tundra star 5^{tych} miesięczną nocie polarnie a także mroź - 60^{tych}

Co to, to pobawienie człowieka i narodów a niejednokrotnie polskiego przez ciemnych ludzi hitlerowskich i stalinowskich. Tak postępowali rżymy totalitarne hitlerowski i stalinowski. Lecz miłosierdzie i opatrosi Boga nie dopuściła do morderstwa lub rdziesiętkowania tak mocno doświadczonemu narodowi a spowodowała ich rozpad. Bo to jest Polska, jest wolna, jest suwerenna, jest niepodległa i suwerenna.

Hitlerizm miał tak szybko jak się pojawił a Imperializm Stalinowski rozpada się na państwa zmierzające w kierunku i przez cara i przez Stalina.

Teraz musi oddać co zabrał nagrabił, radości wymie za niepomietu cierpienia ludzi, za bezpłatną pracę milionów zmierzających narodów. Sztuczny twór leninowski - stalinowski ginie a narody biorą w swoje własne ręce los swój, niepotrzebują pomocników na siłę /serim sowiecki / a był on więzieniem, obłudą i fałszem. W miarę sprawiedliwości dziejowej staje się radość. Bo dobry Bóg: królowa korony Polskiej zlitowała się nad naszym tak doświadczonym narodem i wrócił nam wszystkim i wolność. Teraz tylko trzeba o dobre i odpowiedzialne ręce pomenać młodym pokoleniom - Niech dalej podążają i dala o państwo i ludzi, jak zreniecy oha i doprowadzi do zgody, pokoju i dobrobytu - bosem nam i moje pokolenie odchodzi i czysto adendo. Na tym koniec tych parz zolaren i fantom umocny na papier. Oby nie zaginęło w mrokach henatomba narodu polskiego.

20 lutego 1991 roku

Edward Jędrzejko - Sierkiel

U Z U P E Ł N I E N I E .

Relacja moja byłaby niepełna, gdybym chociaż w skrócie nie wyjaśnił, co się stało z moimi Rodzicami i siostrą ^Marią, pozostałymi w Rybińsku, po moim aresztowaniu. Jak wspomina Maria /obecnie Marczuk/, w maju 1944 r. razem z całą grupą Polaków z Narymu zostali oni przewiezieni na Ukrainę. Dwa wagony Polaków z całego transportu dotarły do stacji Bajgara, na 105 km od Woroneża, i tam osiedlono ich w sowchozie "Prawda". Znalazły się tam m.in. następujące, znane już, rodziny:

1. Bajraszewscy- 3 osoby;
2. Czaplińscy- 3 osoby;
3. Grabiccy- 5 osób /dwie osoby zmarły, Adam- w wojsku/
4. Matwiejczykowie - 4 osoby;
5. Płatkowie- 3 osoby /Edward - w wojsku/;
6. Szwojniccy- 2 osoby;
7. Sietko- Sierkiewiczowie- 3 osoby;
8. Sliwińscy - 2 osoby /^Kazimierz- w wojsku/
9. Zasztowtowie- 4 osoby/ głowa rodziny Marian Zasztowt zmarł w Rybińsku, a teściowa Ignatowicz umarła w Bajgarze.

Po repatriacji wiosną 1946 r. Rodzice i Siostra osiedli w Malborku; oboje Rodzice już zmarli.

Ja i Żona Lidia wychowaliśmy trzech synów; dwu z nich jest oficerami Marynarki Wojennej. Żona zmarła w Ryjewie 10 grudnia 1982 r.